

Koniec karnawału

Tomasz Rowiński

Kiedy zaczynamy się zastanawiać nad tym, czym jest karnawał, zaraz przychodzi nam do głowy następujący po nim Wielki Post, a gdy zestawiamy karnawał i Post, to od razu wyskakuje jak królik z kapelusza „wojna postu z karnawałem” znana z obrazu Pietera Bruegla, ale i twórczości polskich bardów solidarnościowego karnawału – Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego.

Sugestia, że pomiędzy karnawałem i Postem jest rodzaj wojny, podsuwa czasem pokusę, by widzieć w karnawale sprzeciw wobec religijnego umartwienia pojmowanego jako chrześcijański ucisk. Dylematy karnawału nie są jednak bliskie tylko tym, dla których chrześcijaństwo jest dalekie. Ojciec Marek Blaza, jezuita, pisząc swego czasu o karnawale¹, zastanawiał się wręcz, czy w ogóle możliwa jest taka przemiana z karnawałowego hulaki w wielkopostnego pokutnika i co jako chrześcijanie mamy z tym zrobić. Odpowiedź na takie pytanie wydała się chyba autorowi trudna, ponieważ by ją znaleźć, odwołał się do nadprzyrodzonych interwencji Boga i przykładów gwałtownych nawróceń wierzących w dziejach Kościoła.

Oczywiście odwołując się do historii Kościoła, możemy odpowiedzieć, że u Boga nie ma nic niemożliwego albo że w żywotach świętych można znaleźć niemało przykładów nagłych nawróceń. Odpowiadając w ten sposób, być może sami liczymy też na cud nawrócenia naszego serca, który miałby się dokonać w mgnieniu oka. Jednak sami zauważamy, że z zasady taki cud nie dokonuje się automatycznie. Trzeba bowiem nad sobą popracować.

¹ Marek Blaza SJ,
*Czy karnawał, jako
przygotowanie do Wielkiego
Postu?*, opoka.org.pl,
dostęp 7.02.2015.

Coś w tym jest, jednak każdego roku ten „czas” jest taki sam i jest krótki, a także nagły jak błyskawica – przychodzi Środa Popielcowa, przyjmujemy na głowy popiół pokuty i nie ma czasu, by przepracować tę przemianę. Mamy wejść w umartwienie i już. Może zatem chodzi o coś innego niż „przepracowywanie” i zamianę z hulaki w mnicha, opartą na naszej woli? Czy gdy ktoś pije, zagrzebany jest po uszy w nałogu, tak po prostu niczym heros może to picie zostawić? Odpowiedź zgodna z prawdą brzmi – tak jedynie bywa.

Badacze kultury wywodzili często karnawał z obrzędów pogańskich, z saturnaliów, kultów płodności i zaklinalnia duchów. Zapewne źródłowo moglibyśmy wykazać jakiś rodzaj ciągłości pomiędzy antycznymi obyczajami a chrześcijańskim, a dokładnie katolickim karnawałem i radością z Bożego Narodzenia. Bo właśnie tak jest – nie można próbować zrozumieć karnawału bez zrozumienia jego osadzenia w obyczajowości Kościoła.

Samo słowo karnawał pozostaje jednak niejasne i zwykle nadaje mu się dwa odmienne wyjaśnienia. Pierwsze rozbiera karnawał na dwa inne włoskie wyrazy *caro* (mięso) i *vale* (żegnaj!), co wskazywałoby raczej na koniec karnawału i pustą spiżarnię, jaką po sobie zostawiał. Drugie wy tłumaczenie etymologiczne ma konotacje pogańskie i odnosi się do *carrus navalis*, czyli wozu w kształcie łodzi, który prowadził parady antycznych bachanalii, czyli świątecznych libacji na cześć Bachusa, wina i płodności.

Jednak pierwsze wzmianki o karnawale jako takim nie są antyczne, ale pochodzą z XIII w. i dotyczą charakteru konsumpcji, jakie odbywały się w okresie poprzedzającym Wielki Post. Jedzono wtedy to, czego znacznie częściej odmawiano sobie w ciągu roku – mięsa, sery, smalec czy jaja. Wedle różnych teorii, szukających funkcjonalnego uzasadnienia dla każdej ludzkiej aktywności, karnawał miał służyć pozbyciu się nadmiaru zapasów zgromadzonych na zimę. Z wielu względów trudno taką teorię przyjąć bez oporów – w epokach nieustannego niedostatku pozbywanie się pożywienia w środku zimy nie wydaje się dostatecznie uzasadnione. Bardziej zrozumiała byłaby tendencja do przedłużania świętowania Bożego Narodzenia lub do przesuwania na coraz wcześniejszą porę ostatnich. Do XIII w. prawdopodobnie libacje karnawałowe odbywały się jednak po prostu w domach, za zamkniętymi drzwiami,

a dopiero od XIII w. pojawiły się świadectwa publicznego spożywania i zabaw. Tyle niektóre świadectwa historii – jak było rzeczywiście, nie jest łatwo ocenić. Szczególnie że równie mocno obecne jest w historiografii przekonanie o karnawale jako jakiejś formie kontynuacji świąt pogańskich, które jednak miały wymiar publiczny. Od XIV do XVI stulecia, w okresie rozkwitu, karnawał był także czasem alegorycznych przedstawień z upersonifikowanymi postaciami karnawału i Wielkiego Postu, ze zwierzętami symbolizującymi ludzkie przywary i grzechy, jak obżarstwo, rozpasanie, lenistwo czy zawiść. Zatem było to coś więcej niż tylko zabawa – bo przekazywanie ludowi poprzez środki komiczne kulturowych wskazówek dobrego i złego życia. Charakterystyczne, że rozkwit „piątej pory roku” (jak nazywa się karnawał w Kolonii) zakończył się razem ze zmierzchem katolickiej kultury *christianitas*. Karnawałowi kres położyli surowi protestanci, gardzący ludzkimi obyczajami jako znakami upadku człowieczej natury. Oni silnie ugruntowali w nas przekonanie, że trzeba nad sobą „popracować”. Sporo z tej indywidualistycznej etyki samozaparcia przejęli jezuiti, którzy wzięli udział w charakterystycznym dla nowoczesności procesie porzucania obyczaju i rytuału jako religijnych instytucji społecznych, wspierających wiarę. Potem swoje dołożyli wnukowie reformatorów – wyzbyci emocji racjonalistyczni myśliciele, władcy oświecenia, utylitaryści, romantycy. Można by wymieniać dalej te figury, aż do reprezentantów dzisiejszych czasów.

To, co głównie jednak różni katolicki karnawał od jego pogańskich odpowiedników, to sekularyzacja, której dokonał w świecie pogańskim przychodzący Kościół. Żywioły i posągi przestały być bogami, a zabawa karnawałowa formą kultu, bałwochwalstwa, często sakralnie legitymizowanej nieprawości, ale znalazła swoje właściwe miejsce w życiu ludzi. Zresztą może sekularyzacja to złe słowo – raczej chodzi o odnalezienie realizmu i prawdy o ludzkiej naturze, w którą wpisana jest też zabawa, i jest ona czymś innym niż świętowanie i prawdziwy kult Boga.

Bez dostrzeżenia różnicy pomiędzy katolickością i protestantyzmem pozostaje nam tylko zdziwienie, że Kościół katolicki nigdy jednoznacznie nie potępił karnawału, tego czasu uciechy. Zdziwienie to nie jest współcześnie obce zarówno wierzącym, jak i niewierzącym, którzy w religijności katolickiej widzą jedynie

rodzaj rygoryzmu moralnego i etycznego, wręcz purytyzmu zawsze niechętnego temu, co daje pociechę ciału, zmysłom i emocjom. Równocześnie przyjmuje się często jako aksjomat, że zatracenie się w zabawie jest dziś miarą dobrej rozrywki. A skoro tak, pojawia się pytanie: jak wierzący człowiek może się zatracić w karnawałowej zabawie, skoro nawet ona ma miejsce w perspektywie świętości?

I tu właśnie tkwi błąd. Bo czy zatracenie faktycznie jest warunkiem dostąpienia radości wynikającej z zabawy? Czy nie przypomina demonicznego transu pogańskich libacji? Może pragnienie zatracenia się w zabawie nie jest tylko poszukiwaniem ucieczki od problemów życia, przed rozpaczą? Zatracenie się to nie jest radość i dobry odpoczynek, a tym bardziej wydłużona radość z Narodzenia Pańskiego. Intuicyjnie wyczuwamy, że w przypadku karnawału doszło do zasadniczego przetworzenia przez chrześcijaństwo dawniejszej kultury – odegnano z niej księcia tego świata, ale dodano radość natury ludzkiej, która także w śpiewie i tańcu podoba się Bogu. Również wtedy, gdy nie jest aktywnością *stricte* pobożną.

Wciąż jednak powraca postrzeżenie karnawału jako reliktu świata pogańskiego, którego Kościół mimo usilnych starań nie zdołał okiełznać, choć usilnie do tego zmierzał i teoretycznie czynił, wplatając w roczny cykl obyczaju okołoliturgicznego. Opinia ta prowadzi do przekonania, że średniowieczna tolerancja wobec karnawału była rodzajem hipokryzji – próbą pozostawienia w ramach *sacrum* spraw, które w żaden sposób uświęcone być nie mogły. Tak rozumiana chrystianizacja pogańskiego święta byłaby niczym więcej niż moralizowaniem nad upadkiem obyczajów i zaklinalaniem rzeczywistości, że sprawy mają się zupełnie dobrze.

W koleiny takiego myślenia wpada choćby modny myśliciel włoski Giorgio Agamben, przyjmując, że w katolicyzmie istnieje radykalny rozdział pomiędzy *sacrum* i *profanum*, a zatem każde wkroczenie Kościoła w przestrzeń karnawału kończy zabawę lub jest jej fałszywą legitymizacją (hipokryzją). A ta by była prawdziwa, musi być jak u pogan, zatrata. Tymczasem radykalny rozdział *sacrum* i *profanum* nie jest wcale katolicki (a na pewno nie był bliski katolickiemu średniowieczu). Czym innym jest bowiem katolickie rozróżnienie tego, co naturalne i nadprzyrodzone. Karnawał będący naturalnym wyrazem ludzkiego życia nie jest

przeciwieństwem łaski – nie niszczy jej, tak jak *profanum* miałyby niszczyć *sacrum*. Te dwie socjologiczne kategorie swoje źródło mają w dualizmie protestanckich ortodoksów, dla których upadła natura ludzka i jej wytwory (*profanum*) trwale zostały przeciwstawione Bogu i jego łasce (*sacrum*). A jednak gdy uciecha karnawału zostaje pozbawiona odniesień do bałwochwalstwa, staje się po prostu elementem cyklu życia w porządku stworzenia, w którym to, co naturalne, poszukuje tego, co nadprzyrodzone, ale w sposób właściwy dla darowanego mu czasu. Tego jednak Agamben nie przyjmuje do wiadomości – akceptacja takiego spojrzenia musiałaby oznaczać także zgodę, że w pewnych formach zabawy zawarte jest zło. Zło zaś prowadzi do niewygodnego pytania o jego inspiratora. Oznaczałaby też zgodę, że katolicyzm jest po prostu życiem, a nie idealizmem, który łatwo można zdekonstruować. Życie zaś ma swoje rytualne powroty do narracji źródłowych, okresy odnowy, wyłączenia ze spraw codziennych, ale i codzienność, do której się wraca po odnowieniu duszy.

Joseph Ratzinger w kilku akapitach, które poświęcił karnawałowi, wspaniale rozbija próby przeciwstawienia pobożności i karnawału.

Wydaje się być rzeczą problematyczną traktować karnawał jako przedmiot rozważania teologicznego, ponieważ właściwie obchody karnawałowe w sposób najwyższej bardzo pośredni tylko wiążą się z rokiem kościelnym. Ale czy w tym względzie nie ulegamy trochę swoistej schizofrenii? Z jednej bowiem strony radzi jesteśmy, że karnawał przyjął się właśnie w krajach katolickich, z drugiej zaś strony omijamy dyskusję o nim z punktu widzenia teologicznego. Czy karnawał należy więc do spraw, których z chrześcijańskiego punktu widzenia nie należy aprobować, z punktu widzenia zaś ludzkiego należy je jednak tolerować, bo zakazać się ich nie da? Wówczas jednak należałoby zapytać: w jakim stopniu chrześcijaństwo jest ludzkie?

I dalej kardynał odpowiada na to pytanie – wyegzorcyzmowane pogańskie obyczaje, poddane wcześniej władzy demonów, gwałtu i rzeczywistego smutku, wynikającego z łączenia zabawy i praktyk

przeciwko naturze, stają się eksplozją radości, zabawy, uciechy i pociechy, czasem autoironii, mówiącej wśród śmiechu słowa prawdy bliskie słowom kaznodziei wielkopostnego. W ten sposób oddemonizowany karnawał mógł się powołać na słowa Starego Testamentu: *Jest czas płaczu i czas śmiechu* (Ekl 3, 4). Zatem to, co dla Agambena jest rodzajem niespójności wewnątrz katolicyzmu, jego „sztuczności”, dla Ratzingera jest elementem właściwego postrzegania i rozumienia zasad działania świata stworzonego przez dobrego Boga, także świata kultury.

Swoją teologiczną miniaturę poświęconą karnawałowi kard. Ratzinger zamknął klamrą odnoszącą się do współczesności. Wyegzorcyzmowany karnawał zdiera z ludzkich twarzy demoniczne maski, ale dziś karnawał jest znów niszczonej przez smutek, który wywołują nowi „bogowie”, chcący nim zawładnąć – to „mamona wraz ze swoimi sprzymierzeńcami”. Chrześcijanie nie mają walczyć przeciw zabawie, ale o dobrą zabawę, czyli mają sprzeciwiać się zatraceniu, zniewoleniu czy zabawie jako substytucie pełnego życia. Ratzinger:

Walka z demonami i śmiech ze śmiejącymi się idą w parze; chrześcijanin nie musi być człowiekiem rozdwojonym, ponieważ wiara chrześcijańska jest prawdziwie ludzka.

Na czym jednak mogło polegać to egzorcyzmowanie oprócz czystego śmiechu? Pytanie postawione przez o. Marka Błążę bowiem jest wciąż aktualne. Co zrobić z tym, że do Środy Popielcowej hulamy, a potem już tylko nosimy popiół na głowach? Oczywiście Pan Jezus wskazywał, że post chrześcijanina ma się objawiać inaczej niż umartwienie znane w kulturze żydowskiej.

Kiedy pościcie, nie bądźcie posępni jak obłudnicy. Przybierają oni wygląd ponury, aby pokazać ludziom, że poszczą. Zaprawdę, powiadam wam: już odebrali swoją nagrodę. Ty zaś, gdy pościsz, namaść sobie głowę i umyj twarz, aby nie ludziom pokazać, że pościsz, ale Ojcu twemu, który jest w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie (Mt 6:1-6,16-18).

Nie rozwiązuje to wszakże problemu. Refleksja Josefa Ratzingera podsuwa nam jednak to, co w życiu Kościoła było rodzajem oczywistości, a co zostało zanegowane w pewnej mierze przez ruchy reformacyjne, a potem przez szeroki prąd nowoczesności. Chodzi o religijne znaczenie kultury.

Religia to nie tylko wysiłek własnej woli, to także (a może przede wszystkim) poddanie się temu, co przychodzi z zewnątrz, temu, co podaje Kościół i obyczaj religijny. Nie mamy się zatem miotać duchowo w przededniu Środy Popielcowej, ale pójść za kulturą wiary – nie my wyznaczamy jej miarę, ale to ona ma nas prowadzić. W kalendarzu liturgicznym związanym z nadzwyczajną formą rytu rzymskiego, czyli tzw. Mszą trydencką, Wielki Post nie spada na nas jak gilotyna, która może nieraz odsłania pustkę wcześniejszej zabawy. Trzy niedziele poprzedzające Środę Popielcową określane są mianem Przedpościa. Jak lapidarnie, lecz trafnie określił to przywoływany już o. Marek Blaza, było to swego rodzaju „przygotowanie do przygotowania”. Moglibyśmy powiedzieć, że było to swoiste *memento*. Czas Przedpościa nie jest jeszcze czasem Postu, ale kapłan nosi już podczas Mszy fioletowy ornat, nie śpiewa się *Alleluja* ani *Gloria*. W czytaniach rozważa się naukę o upadku, czyli grzechu pierworodnym, oraz o potopie i powołaniu Abrahama. W polskiej tradycji każda z tych niedziel przedpostnych nosi swoją nazwę i tak odpowiednio są to Niedziela Starozapustna, Mięsozapustna i Zapustna. Dopełnieniem Przedpościa jest nabożeństwo czterdziestogodzinne, które trwa od niedzieli do wtorku przed Środą Popielcową. Historycznie jego wprowadzenie było efektem pewnego paradoksu, bo choć Kościół starał się zapewnić wejściu człowieka w czas umartwienia rodzaj rytualnej otuliny, to zmiana klimatu liturgicznego powodowała nieraz nasilenie intensywności karnawałowej hulanki. Do tego stopnia, że znane były lokalne obyczaje zabaw i obrzucania się popiołem jeszcze w sam Popielec. Nabożeństwo czterdziestodniowe z adoracją Najświętszego Sakramentu wprowadzono dodatkowo, by pomóc w wyciszeniu ciała i duszy.

Dziś jednak bardzo trudno nam to wszystko odczuć, choćby dlatego, że jesteśmy praktycznie we wszystkich aspektach życia jedynie konsumentami, nigdzie właściwie nie zakorzeniając całego naszego życia, wszystko przyswajamy wyrywkowo. Tym-

czasem odpowiedź na pytanie o. Blazy, które można zredukować do kwestii „jak przeżyć Środę Popielcową?”, zawarta jest być może w niedostępnej nam już lub trudno dostępnej kulturze tradycyjnej, która istniała w nierozłącznym niemal powiązaniu ze stabilnym miejscem życia i jego czasem. Praca, wypoczynek i świętowanie nie wiązały się z żadną „wirtualizacją” – dziś „wirtualizacja” to nie tylko przebywanie nieraz znacznych odległości do miejsca pracy czy kościoła, ale wtopienie w liczne logiki czasu i obyczaju związanego z życiem w korporacji, na Facebooku, w supermarkecie, wtopienie w rozmaite obowiązki społeczne zapewniające, przynajmniej w naszym mniemaniu, cywilizacyjne przetrwanie.

Przejście od zabawy do umartwienia nie może się bowiem stać tylko mocą naszego własnego wysiłku, a religijność w czasach nowoczesnych do tego się właśnie sprowadza. Jeśli mówi się o tym, że stała się ona sprawą prywatną, to przeważnie to właśnie mamy na myśli – religia nie jest już wspierana przez żadną z silnych instytucji naszego życia, nie budzimy się zdjęci paniką, gdy zaśpimy na niedzielną Sumę, ale, owszem, na czoło występuje nam zimny pot, gdy korporacyjny zegar wskazuje ósmą pięć, a my stoimy w korku. By jednak po prostu przejść z karnawału w Post, trzeba stać się uczestnikiem tego innego śpiewu i tańca „silnie angażującego władze duchowe i cielesne, więc dla kogoś, kto chciałby je wyłącznie konsumować, nic z siebie nie dając [...] mogłyby być rozczarowaniem”². Zaangażowanie w kulturze tradycyjnej sprawiało, że zarówno karnawał, jak i Post stawały się sposobem wyrazu uczuć, przeżyć, ale i tęsknot – doczesnych i świętych. Taniec nie był tylko hulanką i rozrywką, a śpiew podczas liturgii tylko estetyczną oprawą sakramentu, chodziło raczej o „medium przekształcania i wyrażania emocji towarzyszących wszystkim okolicznościom życia, tak że [miały] wielką wartość nie tylko ludyczną, ale i konsolacyjną”³. Zatem nie chodzi o to, czy jedynie popracujemy nad sobą w jakimś quasi-pelagiańskim odruchu, ale jaka kultura nas kształtuje.

Warto pamiętać, że choć spór pomiędzy karnawałem i Postem niewątpliwie istniał, tak jak istniał między Kościołem a karczmą, spory te były zamknięte w jednym obiegu czasu normowanym przez obyczaj, a w szerszych jeszcze ramach przez obrzędy roku

² Piotr Kaznowski, *Muzyka naszych korzeni*, „Christianitas” nr 50/2012.

³ Tamże.

liturgicznego, którym katolickość obejmuje to, co przyrodzone i naturalne ze świętym, niebiańskim, pełnym Łaski. Reformacja i purytanizm chciały znieść to, co wydawało się im grozą upadłej natury, tę chęć zabawy, ale i w znacznej mierze potrzebę obrzędu kościelnego, tradycji rozumianej jako pozostałość pogańskiej mentalności religijnej, będącą wrogiem głoszonej przez nich utopii chrześcijańskiej prostoty i rzekomej pierwotnej ewangeliczności. Dziś radość zwolenników zwycięstwa karnawału nad jarzmem umartwienia, jaki niósł Post, wydaje się podobnie przedwczesna jak przekonanie o skuteczności zakazów dotyczących karnawału w przeszłości. Zwykle bowiem dziś w dwa dni po Popielcu zapominamy o Poście, rozrywani wirtualną obyczajowością naszej zmierzchającej nowoczesności. Nikt z nas nie śpiewa już tak dosadnie: „A jak już przejdzie lato i przyjdzie święty Michał, ale to ci nie zaśpiewam, ale chociaż byś ty zdychał”. Rozpad obyczaju kościelnego i intensywności Wielkiego Postu każe zapytać, czy nie oglądamy też końca karnawału, który nie staje się już niczym więcej, jak konsumpcją, demonem pożerania bez horyzontu. Nie ma już dziś kaznodziei, który rzuciłby anatemę na grajka, ale i takiego, który wyegzorcyzmowałby powracający smutek bachanaliów.

I tak bokiem nam wychodzi ponuractwo protestanckiej etyki pracy, która dała światu niewolniczy smutek kapitału i korporacji, wprzęgnęła nas w kierat, na który w kulturze potrafimy odpowiedzieć już tylko rozpaczliwym poszukiwaniem zatury.

Zanik napięcia pomiędzy Postem i karnawałem, zanik chrześcijańskiego porządku w sferach życia skutkuje pomieszaniem w samym Kościele, w którym uprzyjemnia się praktyki pobożnościowe, wprowadza do nich elementy zabawy, a z drugiej strony sakralizuje się to, co wiąże się w życiu z przyjemnością. Jednak, tak jak w czasach przedchrześcijańskich, efektem jest smutek. Nie wynika z tego żadna z przyczyn wielkiej radości – ani intensywna zdrowa pobożność, ani dobra zabawa. W efekcie ani nie potrafimy się modlić, ani tańczyć i choć ten wniosek to efekt umysłowego wywodu, to warto zapytać, czy tak właśnie nie jest. ■

Artykuł jest „reżyserską” wersją tekstu, który ukazał się na łamach tygodnika „Plus-Minus” [14-15.02.2015]